



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. i
sgr 20.

Stanisław hr. Potocki.

Smutno patrzeć, jak ustępują ludzie pracy i zasługi, ludzie niepospolitego charakteru, a ustępują w kwiecie sił, mogąc długo jeszcze z pożytkiem pracować dla społeczeństwa. Takim mężem był zmarły niedawno Stanisław Potocki, którego żywot pozostanie wzorem poczucia obowiązków społecznych, spełnianych z taką miłością, z takim oddaniem się i poświęceniem, do jakich tylko umysł wyższy, nawskróś szlachetnej natury, zdolnym być może. Jakoż, gdy się smutna wieść rozeszła z Krakowa o jego śmierci, przejęła ona żalobą, nie tylko rodzinę zmarłego, ale wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli sposobność zetknąć się z nim bliżej i patrzeć się na jego czynności; komu imię jego, chociażby tylko zdaleka, znanem było. Żalowała szczerze opiekuna swego ludność Rymanowa, majątku Potockich w Galicji, płakali włościanie okoliczni, gdy przestało bić serce szlachetne ich dobrodzieja, gdy zamilkły usta i strętwiała dobroczynna jego ręka. Wszyscy uczyli, jak ciężką ponieśli stratę. S. p. Stanisław Potocki był filantropem, ale nie w zwykłym znaczeniu, ograniczającym filantropią na miłosiernych uczynkach, objawiających się jałmużną rozdawaną ubogim. Prawdziwy filantrop, szersze zakreślał koło swemu dzia-



Stanisław, hrabia Potocki.

łaniu. Pod strzechę wieśniaczą niósł chleb duszy i ciała; zakładał szkoły, krzewił oświatę, starał się wszelkimi siłami o podniesienie dobrobytu tego ludu, którego naturalnym uważał się opiekunem, żywiąc w duszy patryarchalne tradycje, w rodzinie jego z dawienawna przechowywane.

Urodził się w Tomaszpolu na Ukrainie w 1837 r. z Pilawitów linii kanclerskiej. Ojciec jego Przemysław i matka z książąt Sapiehów Potocka, gorliwie zajmowali się wykształceniem chłopięcia, skoro wszczone w młodzińczy umysł cnót zarody tak pięknie rozwinęły się i tak szlachetny plon wydały. Początkowe nauki pobierał w domu, wraz z rodzeństwem, i to wychowanie domowe pod okiem rodzicielskim przygotowało grunt, na którym wyrobił się następnie samodzielny charakter, wrodzona energia utrwaliła się niezłomnym hartem zasad, a szlachetny pogląd na świat i jego obowiązki zakreślił kierunek przyszłemu życiu. Za radą Andrzeja hrabi Zamojskiego, blisko z rodziną jego spokrewnionego, umieszczony został przez rodziców w instytucie agronomicznym w Marymoncie, aby zgodnie z własnym wrodzonym zamiłowaniem wykształcić się na rolnika, uprawiającego umiejętnie glebę rodzinną. Tam stał się wkrótce ulubieńcem s. p. Wojciecha Jastrzębowskiego, jak niemniej wszystkich nauczycieli, uznających w młodzieńcu gorliwą pracę i zacność charakteru, objawiającą się na każdym kroku.

Skończywszy nauki w Marymoncie, wrócił na Ukrainę, aby ojczystej ję-

się sochy. I tutaj-to rozpoczął zawód rolnika, na który zapatrywał się z szerszego stanowiska, którego wartość oceniał zarówno pod obywatelskim jak ekonomicznym względem. Kochał rolę, kochał lud na niej osiadły: to też zjednał sobie wnet jego zaufanie. Mianowany „Mirowym pośrednikiem“, wiele dobrego na tym urzędzie uczynił, albowiem, doznającemu wysokiego u ludu i u spółobywateli poważania, łatwiej było każdą sprawę, do urzędowego zakresu należącą, z zadowoleniem stron interesowanych, w imię prawa i sprawiedliwości, przeprowadzić.

Wkrótce atoli bieg wypadków nakazał mu opuścić rodzinny majątek i przenieść się za granicę. Anioł-Stróż czuwał nad nim w tej pielgrzymce; tutaj albowiem, w W. Ks. Poznańskim, w starożytnym gnieździe Działyńskich, w Kórniku, poznał Annę, najmłodszą z rodu, dziewczę wyższego umysłu, szlachetnej duszy, pokrewną mu wyobrażeniami i uczuciem, którą Opatrzność za dozoną przeznaczyła mu towarzyszkę. Ona stać się miała powiernicą szlachetnych porywów duszy i dzielić z nim trudy tego życia.

Córka odziedziczyła cnoty rodzica, s. p. Tytusa Działyńskiego i matki, jednej z najpoważniejszych matron polskich. Ślub odbył się w Kórniku. Młodzi małżonkowie osiedlili się w Galicyi, w Oleszycach, posagowym majątku Anny. Uważali oni życie jako zadanie, mające na celu pracę dla dobra społeczeństwa i kraju, i tej się oboje całą duszą oddali. Wspaniały zamek oleszycki, siedziba niegdyś Sieniawskich, świadek burz wielu, którego komnaty rozbrzmiewały niegdyś wrzawą głośnych zjazdów i uczt na magnackim wyprawianych dworze, stał się obecnie przybytkiem cichej a mrówczej pracy około zaniedbanej roli i ludu, który ją uprawiał. Aby polepszyć jego dolę, młodzi dziedzice czynili nieraz więcej nawet, niż dozwalały granice własnej ich możności.

Zamek oleszycki, w cieniu lip, sadzonych jeszcze ręką Sobieskiego, przed wyprawą wiedeńską, z dawniej warowni przeobraził się obecnie w szlachecki dworek, staropolskim tchnąc obyczajem. Runęły dawne mury forteczne i mosty zwodzone, broniące niegdyś przystępu do nich, a wrota pańskiego dworca otworzyły się na oścież, dla każdego szukającego tu pomocy, pociechy, porady. Po między dworem pańskim a chatą wieśniaczą i domkiem mieszczanśkim serdeczny zawiązał się stosunek. Młodzi dziedzice zaznajomili się wkrótce z całą ludnością objętych w posiadanie włości. Nie było, rzecz można, chaty, nie było domu w miasteczku, do którego by nie zajrzeli ze słowem przyjaznem, z przychylności uczuciem; aby rozpoznać dolę tego ludu i środki jej ulepszenia, trzeba było wejść z nim w bliższe stosunki, a czynem i ofiarnością zyskać sobie najpierw jego zaufanie, następnie zaś szacunek i miłość. Postępowanie, tchnące na każdym kroku otwartością i szczerą przychylnością, wydało plon pożądaną. Pomimo że własne gospodarstwo wymagało pracy wyteżonej, ażeby je uporządkować i do należytego doprowadzić stanu; pomimo że nieraz od świtu do nocy dzień cały potrzeba było spędzić na koniu, aby własnym okiem dojrzeć wszystkiego: nie uchylał się nigdy s. p. Stanisław Potocki od obowiązków opiekuna ludu, które dobrowolnie na siebie nałożył. I tak to już w zwyczaj weszło, że właścianin szedł do dworu z całem zaufaniem, że garnął się tam jakby do rodzicielskiego ogniska; a czy zastał pana czy panią, odchodził zawsze pocieszony, otrzymał lekarstwo, zasiłek, radę na przyszłość—słowem: wszystko cokolwiek mogło mu przynieść ulgę w przykrem położeniu.

Pojmował s. p. Potocki, że chcąc położyć trwałe podwaliny dobrobytu ludu, potrzeba przystąpić do działania systematycznie, że tu nie chodzi o doraźną jałmużnę, niewiele pomocną, a zawsze upokarzającą, lecz o dostarczenie ludowi tych środków materialnych i moralnych, któreby mu dały możność podźwignienia się i zapewnienia sobie pomyślnej przyszłości własnymi siłami. Przystępując do dzieła, zaczęto od założenia szkółek i szpitala i sprowadzono siostry zakonne, którym oddano pieczę nad dziaćką i chorymi. Równocześnie zajął się s. p. Potocki założeniem w Oleszycach i sąsiednich wioskach kas zaliczkowych, dostarczających włościanom, pod korzystnymi wa-

runkami, funduszu na podniesienie gospodarstwa. Przyczyniło się do tego w znacznej mierze związane przezeń towarzystwo wstrzemięźliwości; karczmy zamieniły się w gospody, będące, już nie, jak przedtem, norami zepsucia, ale ogniskiem uczciwej towarzyskiej zabawy, gdzie też włościanin, znajdował stosowne dla siebie książki i czasopisma ludowe. Otwarte po wsiach sklepiki spożywcze dostarczały po tanich cenach wiktuałów i innych potrzeb domowych, po które pierwsi zmuszony był peryodycznie do miasteczka odbywać wędrowki, połączone z marnowaniem czasu i grosza. W takich warunkach dobrobyt włościan oleszyckich podniósł się widocznie w krótkim przeciągu czasu. Rola, dobrze uprawiana, zaczęła rodzić w dwójnasób; dobrze pielęgnowany inwentarz mnożył zamożność gospodarza. Włościanie coraz więcej nabierali zamiłowania do pracy, która im widoczny niosła owoc; troskliwszym okiem zaczęli patrzeć na swe mienie i baczniej chodzić około niego, poznawszy skutki tej troskliwości, przekonawszy się, że praca i moralność przynoszą im spokój na dziś i na jutro.

Kto miał sposobność przypatrzeć się temu patryarchalnemu stosunkowi pomiędzy włością a dworem w Oleszycach, tudzież pomiędzy panem a jego officialistami, bez najmniejszego cienia poniżającej buty, ten niezatarte odniósł ztąd wrażenie. Nieraz u stołu oleszyckiego obaczyć można było pospół kapotę mieszczanśką i włościańską siemięgę obok mitry książęcej. Chętnie też dziedzice wstępowali nawzajem pod strzechę słomianą, bo czy to młodą parę pobłogosławić, czy do chrztu dziecię potrzymać, nigdy nie usuwali się od kumowstwa, korzystając z każdej zbliżenia się sposobności. Religijnością i pobożnością odznaczał się dwór oleszycki, będąc we wszystkim staropolskiemu wierny obyczajowi. Wieczorem, z uderzeniem godziny dziewiętej, odzywał się dzwonek kaplicy zamkowej i dwór cały, wszystka czeladź gromadziła się wraz z państwem i gośćmi na spólną modlitwę i na klęczkach głośno dziękowała Bogu za dzień przebyty, polecając się Opatrzności Jego na przyszłość. Modlitwa była szczerą i umacniała węzeł patryarchalny miłości i zaufania, łączący w jedną niejako rodzinę, równą przed Bogiem, wszystkich obecnych.

Szlachetność umysłu dziedziców oleszyckich objawiała się wybitniej jeszcze, w całym swym blasku, w chwilach nadzwyczajnych nieszczęść, klęsk powszechnych. W roku głodowym, który przed laty dziesięciu dotknął Galicyę, właściciele Oleszyc oddali wszystkie swe zasoby, aby ratować lud wycieńczony głodem, trawiony tyfoidalną z wycieńczenia gorączką. Z otwartej kasy płynął hojnie pieniądź na zapomogi, wypróżniły się dworskie śpichlerze do ostatniego ziarnka na wyżywienie ludności okolicznej; zaprowadzono jak najwięcej oszczędność w utrzymaniu własnego domu, aby więcej uzyskać dla głodnych, dzielono się z nimi każdym kęsem, choćby przyszło samemu głodnym wstać od stołu, byle się pożywili ubodzy.

Nadeszła następnie druga, równie straszna klęska—cholera. Pomimo spóźnionej pory roku, szerzyła się gwałtownie. Coraz groźniejsze dochodziły wieści o jej zbliżaniu się w tamtą okolicę. W zamku oleszyckim krzątano się pilnie około przygotowań na przyjęcie srogiego gościa. Zaoopatrzono obficie apteczkę domową w stosowne środki lecznicze; przedsięwzięto wszystko, co było można, po wsiach i w miasteczku przeciwko pojawieniu się epidemii; niemniej przeto z niepokojem i modlitwą oczekiwano blizkiego jej wybuchu.

Pozwól sobie przytoczyć tu, co się działo w przeddzień tegoż w oleszyckim dworze—mały obrazek kółka rodzinnego, znamionujący dobrze piękny charakter i szlachetność duszy s. p. Stanisława Potockiego i jego zacnej małżonki.

Wieczór był wietrzny i mroźny: gęsty śnieg pruszył, zasypując pola i drogi. W północy jedną tylko lampą oświetloną komnaty siedziały trzy osoby: s. p. Potocki z żoną i jej matką, panią Tytusową Działyńską, bawiącą podówczas u dzieci. Wszystko troje w smutnym byli usposobieniu. Rozmowa toczyła się o cholery. Niebezpieczeństwo było już bardzo blizkie. Potocki zaklinał żonę, będącą właśnie w stanie zdrowia nieznoszą-

cym wzruszeń i trudów nadzwyczajnych, aby wrazie wybuchu epidemii nie narażała się osobiście na niebezpieczeństwo i powstrzymała od odwiedzania chorych. Długo trwał spór pomiędzy małżonkami. Hrabina Anna, przejęta tęsamem, co mąż jej, uczuciem ludzkości, nie chciała się nakłonić do zaniedbania tego, co za obowiązek chrześcijański uważała. Ale gdy do prośb małżonka przyłączyła się także i matka, dała się wreszcie przekonać usilnym naleganiom obojga i przyrzekła, że nie będzie narażać się osobiście, pod warunkiem, że i mąż to samo uczyni. Obmyślano wszelkie środki ratunku, omówiono wszystko w najdrobniejszych szczegółach, aby zapewnić skuteczną pomoc lekarską chorym; lecz postanowiono unikać bezwarunkowo osobistego narażania się.

Nazajutrz rankiem, pani Działyńska, wyjrzała oknem, zdziwiona i przestraszona, obaczyła zięcia, który, jak zwykle, wyszedł o świcie dla obejrzenia gospodarki, śpieszącego od strony miasteczka ścieżką przez śniegi, wprost ku dworowi. Z pośpiechu, z jakim dążył, poznać można było, że zaszło coś niezwykłego. Niespokojnie oczekiwano jego przybycia, przezuwając niedobre wieści. Jakoż wszedł szybko i zwracając się do żony—rzekł:

— Anno! - zbieraj się i chodź. Cholera już jest. W nocy kobieta zachorowała na przedmiesciu... Może Bóg pozwoli jeszcze ją uratować; ale niema ani chwili czasu do stracenia...

A zaledwie to wyrzekł, już pani Anna, zarzucając na siebie zimową guńkę, była gotowa do wyjścia, z przewieszoną przez ramię torbą apteczną.

Zdumiona, patrzyła na to matka staruszka i przypomniała dzieciom wczorajsze postanowienie.

— Prawda, prawda — odrzekł zmieszany nieco Potocki.—Ale stało się. Niepodobna opuszczać ludzi w chorobie.

I tąż samą ścieżką, przez zaspy śniegowe, pośpieszyli oboje do chaty nawiedzanej nieszczęściem, aby uratować matkę kilkorga dzieci.

I odtąd dniem i nocą, niepamiętni osobistego niebezpieczeństwa, nieśli ratunek chorym, od chaty do chaty, gdzie się pojawiała straszna choroba; a z nimi wstępowała pod każdą strzechę, niby widoma Opatrzność Boża, otucha i zdrowie, pociecha w sieroctwie. Bóg też czuwał nad nimi i zachował ich przy zdrowiu.

Toż samo wybitniej jeszcze powtórzyło się w kilka lat później, gdy Potocy nabyli Rymanów, w pobliżu Iwonicza w Ziemi Sanockiej, dokąd się z Oleszyc przenieśli. Wkrótce potem wybuchła i tu cholera i straszliwie pomiędzy ludnością podgórskich okolic grasować poczęła. Trudno tam było o ratunek a trudniej niż gdziekolwiek indziej po wsiach, oddanych na pastwę głodu i nędzy, wywołującej i potęgującej epidemii. Potocy nie ociągali się w tych ciężkich chwilach, lecz pośpieszyli nieść ratunek ludowi, znów z jaknajwiększym narażeniem własnego życia. Wezwawszy Boga na pomoc, każą łądować wozy żywnością i wyruszają osobiście w leczniczą pielgrzymkę po okolicznych włościach. Z apteczką pod różną wstępują do każdej chaty dotkniętej zarazą; przykładem i słowem uczą sposobów ratowania chorych—wnoszą pod strzechy ubogie: leki, pożywienie i pociechę. Błogosławieństwo ludności, modlitwy i wdzięczność uzdrowionych towarzyszą im. Gdziekolwiek przybędą, zmienia się postać rzeczy. Warzą się w wielkich kotłach leki dla chorych i zioła—krupnik posilny dla powracających do zdrowia. Potocy, prawdziwie ewangelicznym przejęci duchem, „odwiedzają chorych, grzebią umarłych“. Trwało to przez cały czas grasowania epidemii, przez parę miesięcy.

Ludność Rymanowska, skutkiem naturalnych stosunków miejscowych, była owiele uboższą i bardziej zaniedbaną od włościan klucza oleszyckiego. To też z podwojoną gorliwością zajęli się nowi dziedzice, podobnie jak poprzednio w Oleszycach, pracą około podniesienia oświaty i dobrobytu, tak włościan, jak i mieszczan tutejszych, zakreśliwszy sobie to samo co, i tam, zadanie. I tutaj, podobnie jak tam, zakładano wkrótce szkółki po wsiach i szpitala. I tutaj utworzył s. p. Potocki kasę zaliczkową, dla wyswobodzenia wło-

ścian od lichwy i pokątnego zdzierstwa. Staral się wszelkimi siłami o ożywienie handlu w miasteczku, o podniesienie rękodzielnictwa, o zakładanie po wsiach sklepików spożywczych, zaopatrzonych we wszelkie gospodarskie i domowe potrzeby włościanina, zawiązał po wsiach straż pożarną wiejską, a zwróciwszy szczególniejszą uwagę na tak-zwany przemysł domowy, mogący dostarczyć ubocznego zarobku włościaninowi i być musi znaczną w położeniu jego pomocą, postanowił założyć w Rymanowie szkoły snycerstwa i kowszkarstwa. Obecnie założona przezeń rymanowska szkoła snycerska, posiada już sławę krajową, a wyroby jej swym smakiem artystycznym i misternym wykonaniem, celują na wszystkich wystawach i wszędzie się rozchodzą, tak, iż niepodobna nastarczyć zamówieniom. Wykształciła ona już znaczną liczbę uczniów w młodym pokoleniu włościan tamtej okolicy.

Po tem, cośmy tu w kilku słowach o zasługach ś. p. Stanisława hr. Potockiego nad świeżą jego mogiłą pobieżnie skreślili, któż dziwić się będzie, iż go tak szczerze kochał lud okoliczny, że śmierć jego wywołała spłóczenie powszechne, że go serdecznie oplakiwali sąsiedzi, znajomi, przyjaciele, a najserdeczniej włościanie? Któż wreszcie z czcią, należną pamięci zmarłego, nie nazwie go wzorem cnoty obywatelskiej?

Wł. Z.

POGA WĘDKA.

Ubiegły tydzień zajmował się przeważnie... miłością, temat, to stary, jak ludzkie serce, ale z niem chyba razem przestanie tętnić swą żywotnością i zajmować ludzi wszelkiego stanu i wieku.

Pani Walerya Marenné (Morzkowska), znana powieściopisarka i literatka, rozpoczęła „Miłością w kilku typach literackich“, szereg odczytów publicznych na korzyść Osad Rolnych. Salę wypełniła po brzegi publiczność, głównie z płci ciekawej złożona, dla której taki temat musiał być i zawsze będzie najbardziej interesującym.

Oile obszerny i wdzięczny, o tyle niezmiernie trudny przedmiot wybrała sobie prelegentka, jak na jednogodzinną rozprawę.

Czy podobna bowiem powiedzieć, co najważniejsze i konieczne, choćby najtreściwiej w tak krótkim przeciągu czasu o tem jednym wprowadzić uczuci, ale przez długie wieki gorącym w milionach piersi najszerzych i najwęższych, zwłaszcza powiedzieć z tego założenia, z jakiego pani Morzkowska wyszła?

Chodziło jej o przedstawienie historycznej genezy miłości od czasów pogańskiego klasycyzmu aż do naszych dni, o zaznaczeniu charakterystycznych i podstawowych jej rysów w starożytności, wiekach średnich i nowożytnych.

Na poparcie swych twierdzeń, prelegentka przytaczała przykłady z poezji greckiej i włoskiej, z literatury francuskiej XVIII w. i w takich postaciach, jak: „Helena“ Menelaja małżonka, „Laura“ Petrarki, albo Julia z „Nowej Heloizy“ Rousseau'a, starała się wykazywać zbiorowe rysy miłości na tle odpowiedniej epoki.

Zakończyła konkluzją, że wiek nasz nie zdobył się na odrębny swój własny typ miłosny w literaturze i niczem wybitniejszym nie upostaciował tego uczucia.

Nie chcemy się spierać z szanowną prelegentką, ale lepiej poszukawszy, możeby się w Byronie zupełnie pominęty, i w Wiktorze Hugo, dość lekceważąco zbyt i w naszych poetach znalazło nieco materyału na odszukanie tego niedostrzeżonego typu....

Nie wiemy poprawdnie, o co p. Morzkowskiej bardziej chodziło w jej studium, czy o samą miłość i jej analizę psychologiczną w dziejowym rozwoju, czy o miłosne typy w literaturze; jeżeli o pierwsze, to zadania swego głębiej nie pochwyciła, jeżeli o drugie, to wybór typowych przykładów był zupełnie niedostateczny i niewyczerpujący. Jak można bowiem w takim założeniu po-

minąć tyle miłością samą wyhodowanych kwiatów poezji w dziełach Shakespere'a, zapomnieć o „Gretchen“ i „Lotto“ Goethego, o „Heroinach“ Schillera, o „Maryi naszej, a choćby Zosi z „Pana Tadeusza“?...

Chyba coinnego zapowiadał tytuł, a coinnego miała prelegentka na myśli.

Drugi z kolei wystąpił p. Felix Ehrenfeucht, na katedrze prelegentkiej, z tym samym tematem, ale w chwili gdy właśnie to piszemy, autor zapewne ostrzy skalpel i nastawia swój mikroskop, aby zabrać się do publicznej sekcji ludzkiego serca w Sali Resursy Obywatelskiej, dlatego niemożąc uprzedzić jego zdań i twierdzeń wygłoszonych, musimy wzmiankę o tym odczycie również „miłosnym“, odłożyć do przyszłej Pogawędki.

Zapowiedziano nam jeszcze i trzecią prelekcję (*omne trinum perfectum*) o miłości, bodaj czy nie najciekawszą, bo przygotowywaną przez... lekarza, który ze względu... patologicznego, mówić ma o niej.

Od wieków przecież skarżyli się ludzie, że miłość to choroba z rodzaju gorączkowych. Powaga medyczna może nam to potwierdzić, wykazując w zakochanych objawy toksykologiczne, pochodzące z zatrucia, jak rozszerzenie źrenicy, bicie serca, dreszcze febryczne, stan chwilowego znieczulenia i t. p. Usłyszymy może nakońcu, iż sztuka lekarska nie traci nadziei... napisania kiedyś recepty dla zakochanych, potrzebujących wyleczenia radykalnego, środkami aptecznymi.

Może stare gusła i praktyki z ziółkami: *lubymene* i *pokińmene* zrehabilitowane jeszcze zostaną głosem i badaniami patologów i terapeutów.

Qui vivra verra.

Nic przecież w miejscu nie stoi, choćby pozoranie w ruchu pozostawało, wszystko posuwa się naprzód w przestrzeń; nawet nasze Towarzystwo Muzyczne, uznało za stosowne rozruszać się, ale oddolnie, uważając kontemplacyjne zasluchanie się w dźwiękach Bethovenów, Mozartów i Haydenów za rzecz mało praktyczną i... zabawną.

Na ostatnim walnym zgromadzeniu tegoż Towarzystwa dowiedziano się, iż w ciągu dwunastu lat istnienia zamiast wzrastać, spadało kolejno i z 1,300 przeszło członków, doszło zaledwie do połowy tylko wytrwałych melomanów, a kasę swą naraziło na chroniczny deficyt.

W ostatnim karnawale próbowano tańczyć po wieczorkach muzycznych i przekonano się, że w Towarzystwie więcej jest skłonności do płasów, niż do poważniejszej muzyki, że zatem wyzyskując ją prawidłowo, można uchronić się od deficytu. Postanowiono tedy uczynić muzykę zabawniejszą, bez względu na to, czy zabawy będą muzykalniejsze. Mamy więc przed sobą powolne przeobrażanie się jedynego w kraju Towarzystwa Muzycznego z szlachetniejszymi celami około podniesienia i rozwoju sztuki — w klubik, na wzór niemieckich, prowincjonalnych *Gesangvereinów*.

Co nas w tem najbardziej dziwi, że to przeobrażenie dokonywa się pod firmą zdolnego i wytrawnego muzyka w lepszym stylu, znanego kompozytora i człowieka niepospolitego talentu, który mimo wszystko pierwszy obstawać zaczął za obniżonym kierunkiem dążeń i celów Towarzystwa, powołując się na przykłady zagranicznych Towarzystw tego rodzaju, w których melomani nie tylko tańczą, ale i piwo piją, i fajerwerki puszczają.

Nic słuszniejszego, tylko ci melomani mają przytem instytucje nieklubowe, w których muzykę traktują z całym nabożeństwem i poszanowaniem, a zamiłowanie do niej mają wyrobione na prawdę, nie na żarty, długą tradycją pielęgnowania sztuki i talentów.

Jeżeli koniecznie chodzi o zabawę i rozrywkę, nawet z pożytecznym charakterem, to istnieje u nas i prosperuje wyjątkowo świetnie Towarzystwo Wioślarskie, w którym można i pohasać, i gymnastykować się, i pływać, konno jeździć, fechtować się, a nawet od czasu do czasu... muzyki posłuchać.

Zdaje się, że ten charakter i programmat najbardziejby dogadzał większości naszego znudzonego Towarzystwa Muzycznego; zatem należałoby tylko zrobić krok śmiały i stanowczy, i przenieść się z Sal Redutowych do Pałacu Brühlw-

skiego, zmieniając godło lutni rozstrojonej na wiosło.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa Wioślarskiego, odbyte przed dwoma tygodniami, przekonało, iż instytucja rozwija się pod nowym zarządem nader pomyślnie i liczy około 900 wioślarzy, z których co prawda szóstą część tylko na ten tytuł faktycznie zasługuje.

Życzyćby wypadało wszystkim naszym assocjacjom takiego powodzenia, a zwłaszcza nowo-powstającym, jak: Towarzystwu Sztucznej Hodowli Drobiu, Ogrodniczemu, które w zasadzie uzyskało już potwierdzenie władzy, spółce zakładającej zwierzyńiec w Warszawie i rozmaitym innym.

O tym zwierzyńcu dla lwów, tygrysów, słoni, małp i niedźwiedzi, czytamy od pewnego czasu sporo artykułów po naszych dziennikach. Niezaprzeczenie byłoby to bardzo ładnie i pożyteczne dla Warszawy, mieć swój własny ogród zoologiczny; chodzi tylko o to, czy znajdzie się odpowiedni i tak duży kapitał, by taki ogród, lepszy niż od wędrujących menażeryj—założyć, a co ważniejsza, ze stałych dochodów utrzymać; bo z mniejszymi funduszami rozpoczynając, można się narazić na straty i zawody. Ciekawi Warszawianie pójda raz i drugi obejrzeć zwierzęta w klatkach i zapomną o swoim zwierzyńcu, jeśli ich nie będzie pociągał czemś nowem bezustannie.

Należałoby dlatego dobrze obliczyć wszystkie za i przeciw, zanim się zaryzykuje fundusz na cel, który zależy od kaprysu zmiennego publicznego naszej i może zawieść jedną i drugą stronę.

„Co nagle, to po dyable“, mówi przysłowie, choć drugie radzi: „kuć żelazo, póki gorące“, ale przezorność dodaje: „kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha!“

Pozwalamy sobie wątpić, aby według projektu zapaleńszych miłośników zoologii, wspomniany zwierzyńiec już w Maju mógł być otwartym, natomiast dla żarłocznych—nie zwierząt wprowadzić, i dla smakoszy ma być w Czerwcu urządzoną podobno w Salach Doliny Szwajcarskiej pierwsza w kraju Wystawa kucharska. Naturalnie, iż głównie uwzględniona i na honorowem miejscu postawioną będzie kuchnia i piwnica polska ze smetami barszczami, bigosami, koldunami, wędlinami, nalewkami, miodami i konserwami.

Smaczny ten projekt budzi ogólne zajęcie, a żołądki, podniebienia i języki cieszą się już dzisiaj przyszłemi rozkoszami i wrażeniami.

Dla głodnych... umysłów, inną zapowiadają a pożądaną nowość, chociaż w praktyce dopiero przekonamy się o jej pożyteczności. Oto wieść niesie, że ministerium oświaty wydało pozwolenie na otwarcie dwóch nowych zakładów naukowych w Warszawie. W pierwszym z nich wyższym, specjalnie dla kobiet przeznaczonym, wykladać mają sami profesorowie Uniwersytetu; drugi ma być rodzajem Akademii języków abcych i wykształcać specjalnie poniemiecku, angielsku, francuzku i włosku.

Zobaczmy, co się da o tych dwóch projektach powiedzieć po bliższem zbadaniu szczegółów.

Na zakończenie zachowaliśmy nekrologię; obowiązek wdzięczności i pamięci każę nam uczcić dwóch zmarłych, jednego filantropa, drugiego artystę. Pierwszy, starzec, przywiązany do miasta, które nie było jego rodzinnem, ale z którym żył się przez długie lata i w którym kości swoje złożył, ś. p. *Józef Kurjerow*, zostawił po sobie spadek około 70,000 rs. wynoszący i rozdzielił go pomiędzy nasze instytucje publiczne, na stypendya, konkursu artystyczno-literackie, zapomogi dla wielu osób, względem których choćby najlżejsze miał zobowiązania, fundacje humanitarne, świadczące chlubnie o zacnem sercu i charakterze filantropa.

Drugi, zabrany przez śmierć a zasłużony przez całe życie pracy i poświęcenia dla sztuki, to znany i poważany powszechnie artysta *Alexander Lesser*, jeden z najstarszych malarzy naszych, urodzony w Warszawie, prawie w zaraniu życia jał się pędzla i ołówka, i rzec można, że stworzył jakby podwalinę historycznego malarstwa u nas. Znakomity znawca sztuki, wykształcony szeroko i głęboko pod względem estetycznym, zbierający wiadomości swe po całej niemal cy-

wilizowanej Europie, nietylko za powagę uchodził, ale był faktycznie u nas powagą w swoim zawodzie.

Nauka i praca zastępowała u niego geniusz, a powiedzieć bez przesady należy, że jak Brodziński poprzedził Mickiewicza i całą świetną plejadę romantyków w poezji, tak Alexander Lesser poprzedził Matejkę i innych w szkole historycznego malarstwa u nas.

Któż nie pamięta z najdawniejszych wspomnień młodości takich obrazów Lessera, jak „Skarbek herbu Habdank“, „Obrona Trębowl“, „Pasowanie Bolesława Krzywoustego na rycerza“, albo któż wreszcie nie uczył się historii z całym szeregiem „Wizerunków Królów Polskich“ w wydaniu Dzwonkowskiego!... Nazwisko artysty rozbrzmiewało niemal od pół wieku na niwie sztuki, jako nazwisko wytrwałego, nieustraszonego, najlepszemu chęćmi i najzacieśniej celami zajętego pracownika.

Pozostały po Lesserze ślady i w literaturze; jako wytrawny i wykształcony krytyk, pisywał on artykuły o malarstwie po naszych pismach tygodniowych, a zawsze cieszył się z rozwoju ukochanej sztuki i pojawiania się nowych talentów, z zaparciem się nawet miłości własnej.

Dziś u świeżej mogiły mamy obowiązek złożyć wieniec laurowy „prawdziwie zasłużonych“, a nazwisko Lessera Aleksandra przekazać czci i pamięci potomnych.

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-ch AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

*A K T II.

((Dalszy ciąg)).

* SCENA VI.

Agis. — Aratus.

*Agis

Próżno oddajesz mi wielkie pochwały,
A nie otwierasz mi zasługi pola.
Jeżeli sądzisz, że harfą Eola,
Do której greckie matrony dodały
Kilka jonickich strun, to się omylisz,
Bom jest, jak dawna lutnia—o trzech stru-
[nach.

*Aratus

Choćbyś był o trzech strunach i o trzech pioru-
[nach,
Mnie starca nie ustraszysz, ani mnie nachylisz
W stronę sprawiedliwości łaskawej przeciwną.
Etolezykowie przyszli z gałązką oliwną,
O pokój proszą, a ja mam go—pełne łono.

*Agis

Obaczysz wkrótce z pochodnią czerwoną,
I z mieczem krwawym, wyłazący z morza
Pokój Etolski...

*Aratus

Nie dbam wcale o to.
Otośmy 1) teraz zżęli nasze zboża,
Chłopy jagody Bachusowe gniotą, 2)

Ptaszeta małe w polu gospodarzą; 3)
Niech je Etolezyk płoszy: mają skrzydła. 4)

*Agis

Dobrze, a więc ku Sparcie obróć się twarzą.
Bo widzę, żeś nas wezwał, jak szare strasz-
[dła. 5)

Stawiane 6) w polu złotem ku żyta obronie;
A teraz niepotrzebnych odsyłasz....

*Aratus

W tem łonie,
Jak widzę, wielka bardzo ambicya.

*Agis

Aracie!
W mojej spartańskiej, zadymionej chacie,
Są dla żebraków długie czarne ławy.
A wszyscy żebrzą, nie grosza, lecz sławy....
A starą babkę mam bez zębów, która
Chciałaby tarczę moją ssać i z miecza,
Usta odwilżyć 7). jak orzeł ponura,
Macierz całego ludu, nadczłowiecza
Potęgą ducha. Ta w progu zawarczy,
Kiedy mnie ujrzy powracającego,
Bez krwi jak trupa, ale nie na tarczy.
A ja zaś przed nią, do pogłaskanego
W szkole podobny chłopca, spuszcze oczy,
I zrumieniony twojemi pochwałą,
Powiem, że wyszedł na korynckie skały,
I latawcowi memu ogon smoczy,
Zrobiony puścił grzechotnikiem smoka. 8)
A sam Aratus głaszcząc 9) mają pod brodę.
Przestrzegaj, iżbym nie wpadł w jaką szkodę,
Piorunów jakich nie ściągnął z obłoka,
Po cudzych żytach ateńskich nie chodził.
Bawił się, w sławę grał, ale nie szkodził,
Sobie, ni drugim....

*Aratus

Tak Spartanom radzę.

*Agis

Spartańczyki ci moje kiedyś przyprowadzę,
Jak podrosną....

*Aratus

Achajska Liga na tem zyska.
Bądź zdrów!

*Agis

Zaczekaj jeszcze, niechaj się wybłyska 10)
Twój duch i wygrzmi całą gniewu twego chmurą!
Spokojnys niby, ale wszystkie pióra
Na hełmie twoim trzęsą się od gniewu.
Tak, kiedy chmura 11) czarna grozi drzewu,
Korona cała się trzęsie liściana,
Cóż tam od Sparty?
(Wchodzi Amfares i Demades).

*Amfares

Kwas, kwas! Republika nowa zaczyna cię za-
wracać, jak wino przeznaczone na ocet. Agezy-
lausz stał się gniazdem octowem.

*Demades

Archidamia, prababka twoja, jak kani dżdzu,
wygląda zwycięstwa.

*Amfares

Agezylausz zatrzymał słońce i zrobił miesiąc
[trzynasty.

- 3) „I pierzchną z czasem przed Etolezykami“.
- 4) „Etolezyk swym napadem płoszy“.
- 5) „I Spartanom w duch wleję Achajskie prawda“.
- 6) „Marsowe“.
- 7) „Żyć jak pijana“.
- 8) Wiersz ten zmacony; odmiana dwuwiersza:
„I puszczał orla lub latawiec smoczy,
„Zrobiony z różnych grzechotek wypuścił“.
- 9) „Rzekł: Dobrąś wybrał ciszę i pogodę“.
- 10) „niechaj gniew twój wyb[yska]“.
- 11) „kiedy piorun“.

*Demades

Obywatele znudzeni są długością roku.

*Amfares

Wyprawić chcą nową respublikę do szkoły
ateńskiej na naukę astronomiczną.

*Demades

Leonidas zaczyna, jak wino stare, nabierać fla-
[woru....

*Amfares 12)

A Sferus, filozof słowiański 13), wysiaduje
Kleomenesowi mówiąc, iż będzie orzeł z jaja wro-
[niego. 14)

*Agis 15)

Słyszysz, Aracie, jakie mam nowiny
Z mojej ojczyzny? Straszni są Bogowie,
Którzy 16) tak wiążą różne ludzkie czyny,
Jak Medużnice, gdy sobie na głowie
Warkocz zaczeszą 17), a one się włosy
Wzajemnie między sobą pożrą 18). Żegnaj!
Spartańskie tobie przyszłe kiedyś losy
Staną uporem 19), a ty je odegnaj
Mieczem, lub jeśliś jest przed Sparty Bogiem
Słaby, to przyzwij sobie Antygona 20)

- 12) W tekście następują tak po sobie osoby mówiące: Amfares, Demades, Amfares, Amfares, Demades, Amfares, Demades.
- 13) Dlatego zapewne słowiański, że był rodem z nad Dniepru.
- 14) Sferos wychowywał Kleomenesa i wpoił weni nowe zasady.
- 15) Przed tą mową Agisa do Aratusa znajduje się jeszcze następujący dyalog, który oprócz odmian zaznaczonych, zawiera jeszcze w ostatnim przemówieniu Agisa, po wierszu drugim (...usta) siedm wierszy odmiennego brzmienia, trudnych do od-
czytania. Dyalog brzmi:

*Agis

Dowcipem zemną nie błażnucie,
Bo to choroba, kiedy człek wesół
Wieści zamienia w kąsające pszczoły,
Z ust rojami brzęczącymi sypie,
(I z ust wysła pełne żądeł roje)
Zle w Sparcie!

*Demades

Tyle życia, co w polipie:
Każda część ciała rusza się zosobna.

*Agis

Efory?

*Amfares

Kradną.

*Agis

Mój dom?

*Demochares

Nim ściany i dachy upadną,
Potrafisz może (Szczury go same) wyratować lary.

*Agis

Zaczął się we mnie duch, jak Likurg stary,
Uśmiechać na los. Odtąd moje usta
Oświeci, jako błyskawica pusta,
Uśmiech litości nad ludzi naturą.
Mówicie, że im żal Leonidas!
Cóż w tym człowieku było, że purpurą,
Krzyczał po rynkach, a swoje uśmiechy
Uczynił rzadkie jak Fenixy i tą
Rzadkością niby czymś drogiem uczynił
Rzecz, którą hardy lokaj (która w hardym lokaju za bez-
cen) da za bezcen,
A da w tym samym (chociaż takiego samego) gatunku. Bo
co się
W Leonidasie czasem uśmiechało,
To było tylko kupieckiem, a nie zaś
Miłosnej, dobrej duszy rozrzutnością
I marnotrawstwem wielkiego człowieka,
Który wylewa z siebie słońce złote—
Przez usta, oczy, giesta....

- 16) „które“ w tekście.
- 17) „Zawiaż warkocz“.
- 18) „Wzajemnie biją i żrą między sobą,
„Wzajemnie żądłem między sobą gryzą“.
- 19) „Ty—żeś mię wezwał przed wszemi niebiosy,
„Odpowiesz za to“.
- 20) Króla Macedońskiego, wroga Grecyi.

1) „Zżęliśmy wszystko“.

2) Następuje przekreślony wiersz: „Na polach ptaszki tylko gospodarzą“.

I wal nas, jak wróg, twoim własnym wrogiem; 21)
Bo się z tą ligą już Sparta zdradzona
Nigdy nie złączy!

***Aratus**

Przyszłość to pokaże....

***Chorus**

Powstały straszne przeciw sobie twarze,
Wzajemnie grożą duchy.... Biada! biada! 22)

***SCENA VII.**

***Jeden z ludu**

Co tam?

***Drugi z ludu**

Od Sparty ciągle krzyk: „Do broni!“ 23)

***Trzeci z ludu**

Puszczajcie Sferę: niech do ludu gada.
Jak Borysteńczyk.

***Sferus**

Szanowny motłochu!
Szlachcie nasadził raz przy drodze grochu,
A groch mu zjedli przechodzący ludzie;
Więc zaraz, zamiast psa posadzić w budzie,
Abo okopać się wody korytem,
Okolo drogi pole zasiał żytem,
A groch swój bujny posiał nieco dalej:
Więc mu podróżni: żyto wydeptali
I groch objedli 24).

Lud

Apollog! Apollog! 25)

***Głosy z ludu**

Mów do nas jaśniej.

***Sferus**

Szanowni ludzie! i słonecznej twarzy,
Przejazny, szary motłochu! dziś kwaśniej
Na nowych figach tobie, niż na starych,
Bo stare figi dobrze słodsze były.

***SCENA VIII.**

***I-szy z ludu**

Zwołać lud! zwołać lud!

***2-gi z ludu**

Co się dzieje?

***I-szy z ludu**

Partya starego Króla Leonidasa głowę podno-
si. Poszli do świątyni Eforów; zrzucą rząd stary.

***2-gi z ludu**

W ciekawych czasach żyjemy; codzien jakaś
odmiana.

21) Następuje wiersz przekreślony: „Bo się z tą ligą już Sparta zdradzona“, który wstawiłem w text, gdyż inaczej nie było związku.

22) Powyższe słowa wstawiłem w text, chociaż przekreślone. Słowa zaś z textu usunąłem do przypisku.

„Wyrwana duchów pochodnia, zerwana
„Nie zgaśnie, aż tu zgaśnie duchów róża“.

23) „krzyk duchów: Giniemy!“

24) Cały ten apolog Sferusa przekreślony w brulionie, musiałem wstawić w text.

25) Po tych okrzykach ludu Sferus daje mu jeszcze jeden apolog:

Bogu wolności chciał jeden teolog
Posiać.... starą mu ułamał głowę.
Lecz gdy posażki obaczono nowe
I miękkie, a psa nie było na straży,
Pojadł je głodny lud.

***I-szy z ludu**

Patrzcie! Agezylausz, złożony z Eforstwa, idzie
tu w ubiorze prostego obywatela.

***2-gi z ludu**

Słuchajmy go! Niech się tłómaczy....

***Agezylausz**

Obywatele! schodzę z Eforstwa radośniej, niż
byłem wszedł; a wszedłem na Eforstwo, bom wie-
dział, iż potrzeba starej głowy tam, gdzie stare są
prawa, a młodość chce nad prawami panować.
Gdyby nie moje stare opóźniające ręce, stary
Król Leonidas miałby wziętą głowę, zamiast
wziętej korony. Gdyby nie moje trudne rządy,
nie poznalibyście trudności rządu, ani swojego
utrudzenia pod złym zarządem. Wobliczu Dyan-
ny powiadam, że złe obróciłem ku dobremu celowi,
a cel otrzymałem przez mój własny upadek. Ofia-
ruję więc wam i Bogom upadek mój i upadłego
człowieka dalszą usługę w równym z wami oby-
watelstwie.

***I-szy z ludu**

Rozumiesz to, co gada?

***2-gi z ludu**

Pokorny zda się.

***Agezylausz**

Szczęśliwy jestem, obywateli! Leonidas, wró-
cony z wygnania, porządek zachowany, winy prze-
baczone, próba odbyta bez szwanku całego kraju:
oto są owoce dotkliwych dla nas wypadków, któ-
re młodość sprowadziła, a stary zwyczaj napra-
wił. Słodsze są owoce na starym drzewie i słod-
kie są czyny powolnej i rozważnej starości. Za-
chowajcie dla mnie w sercu waszem nieco życzli-
wości: a towarzyszyć mi [ona] będzie w cichym ży-
wocie 26), na którym jużem tyła pracami zasłużył.
Twardy chleb, ale dobrze wysłużony, gryźć będę.

***I-szy z ludu**

Archidamia tu biegnie.

***Chorus**

Zaprawdę, widać chmurę na końcu ulicy.

Jasną dziewic twarzami, i starą matronę.

Ta, w purpurowym płaszczu i białej spódnicy,

Biegnie, jak w błyskawicach upiory szalone 27)

Pośród zawieruch kraju na rynkach zjawione....

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)*

Paczuski chwilami tracił meztwo, ochotę, i go-
tów był zawrócić do Garwolina, wziąć pocztę,
wyrzucić się wszystkiego i powrócić do Warszawy;
tylko niezmiernie rozjątrzenie przeciw Horpiń-
skiemu sił mu dodawało.

Za nim i przy nim idący Jacuś ciągle mu coś
pokazywał i opowiadał. Droga, po godzinnej już
przechadzce, skręcała nieco wprawo i zwracała
się ku wcale ładnie wyglądającej wioseczce.

Było to coś małego i drobnego, ale uśmiechnię-

26) „w dobrowolnym osamotnieniu“.
27) „.....i starą matronę“, „w ciemnej, czerwonej jako błę-
skawicy“, „Jawia się duchy ludów, upiory szalone“.

tęgo załotnie i wyglądającego na gniazdeczko dla
dwojga gołąbków. Na pagórku stał skromny do-
mek, w stylu niby szwajcarskim wystawiony,
schludny, świeżuchny, obwieszony pnąciami się ro-
ślinami, otoczony zielenią żywą trawników i kwia-
tami. Poza nim ogród drzew starych, cienistych.
stanowił tło, na którym budowla ta i otaczające
ją malowały się, jak na dobrze skomponowanym
obrazku.

Mimowolnie, przymusową przechadzką znużony
już, znużony Paczuski, spojrzawszy na tę mi-
lącą siedzibę, w duszy pozazdrościł jej mieszkań-
com, wyobrażając ich sobie szczęśliwie, spokojnie
zasiadających do obfitego, czysto, smaczno zasta-
wionego śniadania.

Hoc erat in votis! Pieszczoch nie znosił głodu,
nie przywykł był do niego. Gościniec, którym szli,
zwróciwszy się poza płotem ogrodu, szedł dalej
skrajem jego, ale tu już nie płot go od pola od-
działał, tylko głęboki przekop, w którego głębi
ukryty był częstokół, tak, aby widoku nie zasła-
niał.

Oko mogło sięgnąć w głąb ślicznie utrzymy-
wanego ogródka, w którym letnie kwiaty, w nie-
zmiernej obfitości pod klombami rozsiane, zdra-
dzały pielęgnującą je rękę kobiecą.

Wśród zielonych kobierców przewijały się
ścieżki misternie prowadzone, nad którymi stały
drewniane i kamienne ławki i stoliczki.

Paczuski wpatrywał się z niezmierną cieka-
wością w ten kątek tak malowniczy i szedł samym
brzegiem przekopu, gdy zpośród drzew, na dru-
giej stronie, ukazała się postać kobieca, w ran-
nym stroju, w kapeluszu słomkowym, z książką
w rękę.

Figurka ta niewieścia, tak przypadała do kraj-
obrazu, iż zdawała się do niego stworzoną. Pa-
nienka czy pani, trudno to było rozstrzygnąć, by-
ła nie wielkiego wzrostu laleczką, tak zreczną,
tak kształtną, jakby ją na tle drzew jakiś Cha-
plin wymalował. Biała, różowa, z włoskami blond,
z buzią małą koralową, należała do tych zjawisk
kobiecych, które coś w sobie mają dziecięcego i
motylkowego. Powagi w niej próżno było szukać,
ale za to wdzięk od stóp do głów ją opromieniał.

Wielkimi, niebieskimi oczyma, stanawszy tuż
naprzeciwko Emila, wpatrzyła się w osłupiałego,
i z ust jej wyrwał się wykrzyknik:

— Pan Emil!

Raziło go jak piorun to pochwycenie *in flagranti*,
w stroju wcale nie do zaprezentowania się tak
ładnej pani, pieszo na gościńcu, z dosyć podejrz-
anie wyglądającym towarzyszem—i, wśród wycie-
czki, z której się wytłómaczyć było koniecznością
razem i niemożnością. Paczuski stał długo i nie-
wiedząc: czy mu nie wypadało uciekać—i z wolna
dopiero podniósł kapelusz, jakby teraz nareszcie
poznał, znajomą zdawną sobie z Warszawy, żonę
a teraz wdówkę po przyjacielu serdecznym, panu
Bończy.

Pani Bończyna lub, jak ją pospoliciezwano Boń-
cza, od dwóch lat już była wdową, a nie żyła
z mężem nad rok jeden. Emil Paczuski, wybiera-
jąc się w okolice Garwolina, zupełnie był zapo-
mniał, iż Brzózki, majątek nieboszczyka, Tadzia
Bończy, leżał w tej stronie.

Śliczna wdówka, która miała czas opłakać mę-
ża, znaną była i w Warszawie z dziecięcej swej
wesołości, dobroci i miłości swobody. Żyła ona
tu z matką i głoszone powszechnie, że wcale za
mąż iść nie chciała. Miała własną wioskę i Brzo-
zki dożywociem po mężu.

— Na Boga! co pan tu robisz! pan! tu tak rano!
Sam jeden pieszo! Przypadek jakiś.

Gdy wdówka tak żywo mówiła, posunawszy się
aż na sam skraj przekopu, Emil miał czas namy-
śleć się, jakim kłamstwem się wywinie.

Jacuś z odkrytą głową stał za nim, milczący.

— Ale, mów-że pan, mów, szczebiotała pani
Bończa—umieram z ciekawości! Co to za awan-
tura?

— Najprostsza rzecz w świecie—z przymuszo-
nym uśmiechem odezwał się nareszcie Paczu-
ski.—Nie wiem czy pani zna moją namiętność do
myśliwstwa.

— Pierwszy raz o niej słyszę!

— Chciałem się rozpatrzeć w okolicy, czybym
nie mógł nabyć kawałka ziemi i lasu do polowa-

nia, gdziebym i sam użył przyjemności i przyja-
ciół czasem zaprosił.

Wdówka słuchała, widocznie zdziwiona i niedo-
wierzająca.

— Gdzież pan się zatrzymałeś?—zapytała.

— Al! w Garwolinie!—mruknął Emil.

— I pieszo puściłeś się tak...

Paczuski nie dał jej mówić, przerywając z u-
śmiechem.

— Zdawało mi się, że nie będzie tak gorąco—
chciałem spróbować...

Pani Bończyna zaczęła się śmiać.

— Jadłeś pan śniadanie?—zapytała. — Rada-
bym go zasekwestrować... My tu z mamą żyjemy
tak samotnie... Wstąp pan na chwilę.

Paczuski się wahał.

— Bardzo proszę: wstąp.... każeściuchno
zrobić coś, aby pana odżywić, bo z Garwolina,
wątpię, abyś wyszedł zbyt przesycony. Miejsco-
wa restauracja, jak mi opowiadano, nie odznacza
się przysmakami.

Paczuski spojrział zukosa na Jacusia, który
slinkę polykał. Bończyna nalegała.

— O trzy kroki jest furka—zawołała.

— Ale mój strój...

— Al! na wsi — *le plus simple appareil* wystar-
cza!—rozśmiała się piękna pani i skinęła, ukazu-
jąc stronę, w której furka znaleźć się miała.

Paczuski nie rozmyślał już. Było mu to nie
na rękę po części, ale razem miał to za opatrzo-
ściowe zrządzenie, iż mu się ludzkie śniadanie na
drodze tak cudownie trafiało.

Jacusi, dobrze znający dwór w Brzókach i go-
ścińność gospodyni, ocierał usta brudną ręką,
marząc także o przyjęciu na folwarku lub w ku-
chni, które mu się uśmiechało.

W furcie czekała już wdówka, która podała
wesoło rękę Paczuskemu, wzięła go, jak jeńca
wojennego, i poprowadziła ku domowi.

Może rada się była przed Warszawianinem
swoją śliczną rezydencją popisać. Wiodła go
bardzo umiejętnie, wybierając ścieżki, z których
coraz inaczej, a zawsze bardzo ładnie wydawał
się domek wylegantowany i zalotny.

— Patrz-że pan—mówiła ożywiona—jak ztąd
ślicznie widać mój domek! O! bardzo maluchny,
skromniutki, wiejski, ale — caceczko! Ja go tak
kocham!...

Z tej strony, patrz pan: ten ganeczek cały
okryty glicyną i klematysami... Glicyny już prze-
kwitły... niestety!... a ta sadzaweczka, która blysz-
czy zza drzew ciemnych...

Tak milcząc i słuchając jej dźwięcznego szcze-
biotania, Paczuski dosyć zmieszany, nadrabiając
humorem, zbliżył się do dworku. Nagle gospo-
dyni, doprowadziwszy go do werendy, wyrwała
mu rękę.

— Siadaj pan tu—rzekła — przewodnik niech
sobie w kuchni odpocznie, a ja pójdę mamę uprze-
dzić, że mam gościa, którego złapałam na go-
ścińcu.

To mówiąc, wybiegła a Emil miał czas zaledwie
poprawić ubranie, gdy już powróciła nazad.

Śniadanie natychmiast miało być gotowe i ma-
ma, pani sędzina także.

Zacna ta kobiecina od lat już wielu po ciężkiej
chorobie z krzesła się nie ruszała i wożono ją
z niem po pokojach. Była, pomimo to, ożywiona,
miłą i w sąsiedztwie ukochaną. Zawsze od rana
ubrana bardzo starannie, z nieodstępną pończosz-
ką w rękę, z łagodnym uśmiechem, albo z modlitwą
na ustach, wiodła życie przy córce, nie skarżąc
się, nie narzekając, prawie szczęśliwa.

Gdy Paczuski z gospodynią wchodził jednemi
drzwiami do jadali, drugimi wtaczało się już
krzesło pani sędziny, której go Bończyna prezen-
towała jako przyjaciela nieboszczyka Tadzia.

Paczuski, któremu w towarzystwie nie zbywa-
ło na wymowie i humorze, tym razem musiał się
staruszcze wydać bardzo dziwnym, bo nie mógł
długo wszystkich władz swych odzyskać. I on
jak sparaliżowany wyglądał.

Rozmowa, naturalnie, poczęła się o Warszawie,
o wspólnych znajomych; Emil ze swej strony wy-
chwalał śliczne położenie i urządzenie Brzók.

— Al! panie—odezwała się matka — wszystko
to dzieło tej mojej drogiej—(wskazała na córkę).
Nieboszczyk mało dbał o piękność, ona-to stwo-

rzyła i ten śliczny ogródek, przerobiła domek
i ukwieciła, wonią zapełniła ten kątek, w którym
nam z naszą żalobą tak dobrze!

Bończyna krzątała się około śniadania—Pacu-
ski korzystał z każdej chwili, aby dalszy ciąg po-
pełnionego kłamstwa przygotować.

Nie było ono wielce prawdopodobnem, ale—
wiele młodzieńczą fantazyą tłómaczyć się daje.

Pomimo pośpiechu, z jakim śniadanie podać
miano, upłynęła dobra godzina, nim ono na stół
przyszło. Po garwolińskim poście, po podróży
i znużeniu, wydało się ono Paczuskemu bezprzy-
kładnie smaczne i doskonałe.

Po kieliszku wina humor się zaczął odradzać.

Emil sam z siebie się śmiał, iż się tak nieprak-
tycznie wybrał na poszukiwanie gruntów i lasów,
ale szło mu, jak powiadał, o to, aby go nie obdar-
to, chciał więc jaknajskromniejszą przybrać po-
stać.

Pani sędzina pobjażając znajdowała to ro-
zumne.

W ciągu śniadania wdowa, opowiadając jeszcze
matce, jak była zdziwiona, niespodzianie zoba-
czywszy Paczuskiego, dodała:

— Myślałam, że mi się znowu tak przywidzia-
ło, jak wówczas, pamięta mama... gdy mi się przy-
śnił w parobku jakimś Horpiński.

Nazwisko to poruszyło Paczuskiego.

— Na Boga!—zawołał—coż to było!

— Al! dzieciństwo!—śmiejąc się, dodała matka.—
Ta moja lubka miewa fantazyje... Zachciało się
jej konno jeździć, niby-to gospodarstwo pilnować!
At... dostała sobie spokojnego konia, sprowadziła
siodło — no, i teraz tak śmiało harcuje na koniu,
że mnie z okna, patrząc na nią, strach porywa.
Za moich czasów kobiety lubiały patrzeć na
zręcznych jeźdźców, ale same się do koni nie zbli-
żały.

Otóż w pierwszych dniach tych wycieczki na
siwku...

— Ale ja opowiem sama—przerwała wdowa—za-
puściłam się z moim towarzyszem, starym Wojt-
kiem dosyć daleko, aż pod grunta kolonii, która
się zwie Rusinowym Dworem... Trzech parobków
pracowało właśnie około roli, podjeżdżam do je-
dnego z nich, podniósł głowę, patrzę... osłupiałam!
Przysięgłabym była, że... Horpiński. Pan znasz
Sylwana Horpińskiego?

— Bardzo dobrze—mruknął Emil.

— Już ci nie mógł to on być, bo prosty chłop
Rusin jakiś się okazał, nie więcej; ale na pierwszy
rzut oka, byłabym przysięgła, że to on był.

Zwiodło mnie to, że na widok mój i parobek
się uląkł, a gburowato począł odchodzić, nawet
czapki nie uchyliwszy. Wystaw pan sobie, że
przez dni kilka Horpiński mi nie mógł wyjść
z myśli.

Otóż dziś przyszła mi na pamięć ta historia,
i sądziłam, że znowu się omyłę, bo w skromnym
stroju pieszaka, trudno było wistocie domyśleć
się pana Paczuskiego.

Emil słuchał zadumany. W początku o mało
się nie zdradził, lecz powstrzymał się szczęściem—
i począł tylko rozpytywać o okolice, a właściwie
ową kolonią Rusinowego Dworu.

Stara pani sędzina, ciekawsza od córki, więcej
o niej wiedziała.

— Pan Bóg wie, jacy tam ludzie mieszkają
i dla czego się tu okupili i przenieśli, gdy z nikim
ani się znają, ani żyją. Zdaje się, prości chłopci
kędys z Rusi, sądząc z obyczajów i języka. Wszy-
stkiego jest ich tam troje, czy czworo... pracują
pilno koło roli — ale od mieszczan, od tutejszych
włościan, od wszystkich tak uciekają, jak od za-
powietrzonych. Nikt tam szklanki wody nie do-
stanie.

— Ubodzy są?—podchwycił Emil.

— O! wcale nie—odparła sędzina—przeciwnie,
mają ich za bardzo dostatnich. Gospodarstwo
ma być doskonałe: konie, wozy jaknajlepsze—do
życia sobie niczego nie żałują, choć pono pochłop-
sku jedzą i piją, tak jak się odziewają.

Z zajęciem słuchał Paczuski.

Samą pani, której nie bawiło opowiadanie o Ru-
sinowym Dworze, wołałaby była pewnie pokazać
jeszcze swój ogródek i domek gościowi—i pochwa-
lić się niemi.—Emil musiał myśleć o odwrocie.

Ciekawość jego ułamkową powieścią sędziny,

znowu żywo obudzoną została; chociaż wszystkie
trudności zaspokojenia jej w sposób przyzwoity
coraz mu jaśniejsze przed oczyma stawały.

Pani Bończyna wogóle odradzała mu błaganie
się po okolicy, o której słyszała od męża, iż dla
myśliwstwa wcale nie była pojętną.

— Pan tu nic nie znajdziesz—mówiła—darmo
się zamęczysz tylko. Jabym proponowała zostać
z nami na obiedzie — wieczorem się przespacero-
wać do miasteczka, a potem powrócić do Warsza-
wy i szukać polowania gdzieindziej.

Choć rada ta uśmiechała się Paczuskemu, nie
mógł jej przyjąć — chciał dotrzeć koniecznie do
Rusinowego Dworu, zobaczyć go choć zdaleka.
Opowiadanie wdowy było potwierdzeniem wszy-
stkiego, o czym wprzód się dowiedział. Widziała
Horpińskiego, to nie ulegało wątpliwości: tajem-
niczy więc ten człowiek w istocie tu tygodniami
z tymi prostymi jakimiś ludźmi przebywał.

Śledztwo już stanowczo to wykryło; pozosta-
wało teraz dalsze jego prowadzenie, nierównie
trudniejsze. Paczuski zamierzał znaleźć się nie-
spodzianie w polu oko w oko z przebranym w su-
kmanę Horpińskim, i pochwycić go tak na gorą-
cym uczynku. Tymczasem musiał plac przysię-
go boju opatrzyć, z Jacusiem się naradzić—kłam-
stwem jakimś swój pobyt tu pokryć. Czuł, że
wziął na swe ramiona ciężar okrutny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Pamiętniki Heinego.—Rękopis niewydany Kant'a.—„Nasz kanc-
lerz“ pana Busch'a — Książki w Niemczech i Anglii.—Francya.—
„John Bull i jego wyspa“ przez Maxa O'Rell.—Gymnastyka.—
Obyczaje. — Cena czasu. — Bufety — Rodzina. — Kobiety.—
Swoboda panien.—Kobiety u ludu.—Oszukaństwa.—Reklamy.
Wnętrza domów.— Wygody.—Języki obce.—Anegdota o Mo-
drzejowskiej.—Muzyka.—Dzienniki.

Mamy więc nareszcie owe pamiętniki Heinego,
o których istnieniu i autentyczności tak długo
rozprawiano — rozpoczęto druk nadwreżonego
rękopisu—i, czytelnicy razem z nabywcą jego,
narzekają na srogi zawód, jakiego doznali. Dotąd
niema tu nic nowe światło rzucającego na życie
poety—i pamiętniki do pośmiertnego wieńca nie
przyczynią ani listka.

Miejmy nadzieję, że świeżo wynaleziony, nie-
znany, niedrukowany rękopis Kant'a, dzieło, które
on uważał za uwieńczenie i dopełnienie prac
swoich—nie będzie powtórny zawodem oczeki-
wań. Zapowiadają wydanie jego, które jednakże
wymaga opracowania i przygotowań, a te potrwa-
ją zapewne lat parę. Do traktatu filozoficznego,
który przez czas długi przechowywał się gdzieś
w głębi Rosyi, przyłączone być mają notatki bio-
graficzne znakomitego filozofa. Rękopis auten-
tyczność nie ulega najmniejszej wątpliwości.
Niemcy obawiali się, aby szacowny ten zabytek
nie dostał się do British Museum—i pośpieszono
się z nabyciem jego.

To są najświeższe wiadomości literackie, bo
zresztą, oprócz książki nowej o księciu kanclerzu
przez Busch'a, którą tu osądzono jako dosyć nie-
zręczną zbieraninę wypisów z gazet, zlepioną dla
spekulacji — nie mamy uderzających nowości.
Drukuje się bardzo wiele, ale to są po większej
części albo przedruki lub opracowania różnych
przedmiotów, nieroszczące sobie praw, ani do
sławy, ani do nadzwyczajnego powodzenia.

Gdy we Francyi, a często w Anglii, książka ma-
jąca w sobie jakąś siłę atrakcyjną bywa w kilku-
dziesiąciu tysiącach egzemplarzy rozchwytywana—
w Niemczech, kilka wydań w ciągu roku, i to bar-
dzo skromnych rozmiarów, są wypadkiem rzadkim
i osobliwym. Pomiędzy piszącami a czytelnikami
niema tu tego żywego związku, świadczącego o ro-
budzonem życiu. W Niemczech każdy się ogra-
nicza lekturą wybranego przedmiotu; dzieła o-
gólnego interesu nie istnieją—jak w Anglii, gdzie

wybitne publikacje znajdują się wszędzie. Ameryka tylko może sobie dla chciwych nowości czytelników kazać zatelegrafować tom cały, aby go dać mogła o kilkanaście dni prędzej. W spokojnych Niemczech, dziś, czy za dni dziesiątek — wszystko jedno: nikt dla chciwości czytania czegoś najnowszego nie poświęci ani grosza.

Jest to jednakże symptomem znaczącym, gdy kraj żywo się zajmuje wszystkim tem, co duchowe życie objawia i w czem pulsa jego biją.

Wspomnieliśmy Anglię. Kto ją chce poznać lepiej, powinien przeczytać Maxa O'Rella — „Johna Bulla i jego wyspę. — Obrazy obyczajów współczesnych“ (John Bull et son île, mœurs anglaises contemporaines. Levy. Paris. 1884, 323 pp.). Mamy przed sobą dwudzieste siódme wydanie tej znakomitej książki, którą godzi się ze wszech miar polecić, bo nietylko talentem obserwacyi, ale śliczną formą i niepospolitą odznacza się dowcipem.

Autor patrzy na John Bulla bez uprzedzeń, *sine ira*, choć widzi wiele stron ujemnych, choć je wytyka, nie oszczędzając go, ale razem dodatnie ocenić umie. Wszystkie te światła i cienie składają się na obraz, w którym czuć prawdę. Wypowiadając ją otwarcie i bezwzględnie, O'Rell, nietylko Anglikom oddaje przysługę, ale uczy inne narody i porównaniem z Anglikami szczerze nastroja skazówki.

Autor ma właściwy sobie sposób traktowania przedmiotu, — nierozwlekły, treściwy, dobitny, który czytanie czyni nadzwyczaj miłym i od książki oderwać się nie daje. W trzydziestu kilku rozdziałach, wcale nie długich, jest tu objęte wszystko, co charakterystykę narodu stanowi, co jego oryginalność i właściwość cechuje.

Miedzy innemi wysoko podnosi O'Rell siłę fizyczną, jaką wychowanie wyrabia w Anglikach, a która wcale nieobojętnym jest rysem charakteru narodowego, choć-by ją do podrzędnych przymiotów zaliczyć się komu podobało. Czyni ona Anglika wytrzymałym, i zuchwałym niekiedy w przedsięwzięciach, dla innych narodów niedostępnym.

„Każdy Anglik z dobrego domu — pisze autor — umieć musi pokierować łódką, obchodzić się z koniem i powozić. Nawykły od dzieciństwa do ćwiczeń ciała, uważa za fraszkę stu-milową podróż pieszą, lub wiosłowanie od Mostu Londyńskiego do Oxfordu. Wycieczka piesza z Londynu do Edynburga, jest rzeczą bardzo pospolitą.

„Podróżne przybory nie kłopotą wcale angielskiego turysty: pakuje on koszulę flanelową, tuzin kołnierzyków i dwie pary skarpetek do worka, i wzięwszy kij w rękę, rusza. Znam jednego, który w roku przeszłym piechotą chodził do północnej Szkocyi, przyjaciele szydzili z niego, że do granic Szkocyi chciał się dostać koleją. — „Trochę więcej powinienes mieć odwagi — mówili mu — całą drogę obdaj pieszo; kolej żelazna cały urok wędrówki twojej odbierze“. Tensam w czasie wakacji letnich roku przeszłego pieszo czterysta mil zrobił w Norwegii.“

Idźmy dalej, zbierając niektóre rysy dobitniejsze: „Poza domem John Bull nie bardzo jest towarzyskim; sąsiada nigdy nie zaczepia, ale wymaga od niego wzajemności. Jeżeli Anglikowi w wagonie uczynisz uwagę, że popiół z cygara spadł mu na spodnie, gotów ci odpowiedzieć: „Odziesięciu minut widzę, że się u pana kieszeń pali, a nie mówiłem mu o tem“.

Podnosi O'Rell powszechne zaufanie w uczciwość ludzi, która rzadko zawiedziona bywa. Na stacyach kolei żelaznych bufety stoją otworem dla przybywających, każdy bierze sam co chce, a potem idzie zrobić rachunek przy kassie — wedle własnego zeznania. „Anglicy po większej części jedzą, stojąc; podają im szybko, czasu nikt nie ma do stracenia. Serwet niema, usta się ociera chustką. Lunch skończony w minut dziesięć. Muchę latającą można usłyszeć w pokoju, w salach, gdzie secinami jedzą kupcy, urzędnicy i t. p. Wchodząc do biura spotykasz napis na ścianie: „Mówi się tylko o interessach“. Para panuje tu wszędzie“.

W rodzinie angielskiej panuje ojciec — matka zaledwie emancypować się zaczyna. Syn wdowy jest głową domu, szczególnie w arystokracji.

Syn nigdy nie całuje ojca, matkę — rzadko. Podaje się i ściska ręce, i na tem dosyć.

Podrzedne stosunkowo położenie kobiet w rodzinie autor przypisuje temu, iż nie wnoszą posagów. Czułości nadzwyczaj mało, śmierć nie wywiera prawie wrażenia. Zapytują, dowiedziawszy się o niej — czy był assekurowany? Jednakże obyczaje w tym względzie różne są w rozmaitych klasach społeczeństwa.

„Z wielu względów — pisze autor — kobieta Angielka, wyższą jest od kobiety Francuzki — jest naturalniejszą, rzadko mięwa spazmy, i nie zna migreny. Nie jest tak naiwną, jak młoda Francuzka, ale za to jest mniej dobroduszną. Wychodzi bez mamy, bez bony, podaje ci rękę śmiało i patrzy prosto w oczy. Paniąka jest wolna, jak powietrze... zamężna nie chwali się, że męża za nos prowadzi, zajmuje się domem i dziećmi, nie jest może zalotną dla męża, ale też i drugim nie stara się podobać. W lecie i zimą, Angielka corano bierze kąpiel zimną: i ztąd świeżość ich i zdrowie.

(Dokończenie nastąpi).

Geraldina Calverley

SKZIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

(Dalszy ciąg).

Była to już jesień, początek Listopada, ale czas był prawie tak ciepły jak wiosną, bo na Amerykańskiej półkuli świata, jesień jest szczególnie miłą, wdzięczną porą roku, gdy dziewczęce lasy poczynają się mienić tysiącem świetnych barw liści, które teraz stają się złote, purpurowe, brązowe, wyziewając aromat delikatnej, łagodnie upajającej woni. Osadnicy europejscy nazwali też jesień tamtejszą *latem indyan*, bo wszystkie dojrzałe już wtedy płody i owoce lesne, obfitość ryb wśród jezior i strumieni, zwierzyzny wśród lasów, czyniły ten czas przedzimowy dla autochtonów Ameryki czasem szczęśliwego używania. Póki obcy przybył nie postawił tu nogi, były to gody natury, przyzywającej pierwotnego człowieka do zastawionej przez nią uczty, lecz choć stosunki zaczęły się już zmieniać, choć walki i mordy, namiętność posiadania i ujarzmienia zaczęła wraz z przybyciem Europejczyka rumienić krwią ludzką ten grunt dziewczęcy, niemniej natura była niezmienioną w swoim pięknie i jesienią wieczór *Indyjskiego lata* rozstaczał swoje powaby, gdy nieszczęśliwa Geraldina z otulonym dzieckiem na ręku zeszła na ulicę, gdzie jedyna jej pomoc — jedyny przyjaciel, jakiego miała w całym mieście, miał ją spotkać. Nie unosiła ze sobą nic, prócz posiadanych pieniędzy i trochy bielizny, dziecku potrzebnej. Ona sama byłaby już potrzebowała śmierci tylko, gdyby dwa wielkie węzły obowiązku nie trzymały jej na ziemi. Gdy kapitan Honeywood spotkał ją, gdy dotknął jej gorącej i suchej, gorączką palącej ręki, chciał jeszcze błagać, aby wróciła, skierowała kroki swoje nie w stronę nieznanych miejsc i wypadków, ale tam, gdzie objęcie matki i dom rodzinny byłyby jej stworzyły opiekunczą uchronę, utuliły cicho boleść jej nieszczęścia — ale same jej oczy, zwrócone na niego, już zamknęły mu usta. Przeprowadził ją bocznymi ulicami do rogatek miejskich, poza którymi czekał ją powóz i konie, mające ją odwieźć aż do pierwszej stacyi pocztowej, gdzie dyżurni, nadjeżdżający z Bostonu, zabraliby ją jak zwyczajną podróżną, nie domyślając się jakie brzemię nieszczęścia i rozpacz uwozi ze sobą ta nieszczęśliwa. Co się musiało z nią dziać, gdy przyszła chwila rozstania z Filipem Honeywood, gdy sama jedna, z niemowlęciem na ręku, zapuszczała się w ciemność nocy i losów niepewnych? Te kobiety szczęśliwe, których istnienie upływa spokojnie wśród cichego, rodzinnego otoczenia, te nieżyjące niemal nigdy na własne ryzyko burz i katastrof życia, i te inne — płochę, lekkomyślne jętki salonowe z błyszczącymi, gazowej delikatności skrzydełkami, niech myśl zanurzą w takie położenie bohaterkiej, nieszczę-

śliwej kobiety: a jedne uczują, jaki dobry dział życia dało im przeznaczenie; drugie, jak lichem jest ich istnienie — jak jest mizernie małuczkim! Przy powolnym sposobie podróżowania owej epoki, Geraldina miała dość czasu, aby rozważyć, co czyni i na jakie niepewne szanse doli i niedoli rzuca się może zuchwale? Ale żaden szlachetniejszy, wyższy czyn poświęcenia, nie może się obejść bez takiej zuchwałości serca, które wiedząc to tylko, co osiągnąć pragnie — to, co jest jego obowiązkiem i miłości jego pożądaniem, nie pyta już nic, jaką będzie droga, wiodąca do celu? Jest to energia dusz silnych, i Geraldina posiadać ją musiała w stopniu może najwyższym w chwili, gdy, nareszcie stanąwszy na miejscu, miała ukazać się oczom męża, miała go ujrzeć nakoniec!.. W małym miasteczku nie było koszar osobnych i wojsko kwaterowało po domach. Geraldina przybyła do Tryon już wieczorem, przecież męża nie zastała w domu — ledwie ją tam wpuszczono: bladą, znużoną śmiertelnie, z rozpląkanem dzieckiem u łona, ale właśnie ten nadmiar ciężarów biednej kobiety obudził litość. Pozwolono jej czekać na męża w jego pokoju, a gdy usłyszała kroki wracającego, serce jej drgnęło i zapomniała naraz wszystkiego! Ona oddała się temu człowiekowi, kochając go miłością tak wielką, że miłość ta, nagle rzuciwszy jej się w serce, zapanowała nad rozumem, wolą, pamięcią i oba jej ramiona wyciągnęły się ku niemu, gotowe do namiętnego uścisku, gdy... ach! spostrzegła mundur czerwony!

Jęknęła i padła w tył na krzesło. Nie mogła, nie mogła, nieszczęśliwa rzucić się na szyję tego człowieka, który blady jak chusta, skamieniały prawie, został jak posąg na progu.

Dziecię zakwiliło i to wróciło mu pojęcie rzeczywistości. Jego dziecko, jego żona!.. Zrywając z ojczyzną, zrywał niejako ze wszystkim, co w tej ojczyźnie posiadał; sądził, że Geraldina, której gorącość uczuć obywatelskich znał, — przeklnie go wraz z innymi i opuści, odjedzie do matki z dzieckiem; lecz oto ona tu przybywała do niego z niemowlęciem swem małym, i było to dla nędznego człowieka coś jak ukazujący się duch Banka. Cała przeszłość, cała szczęśliwa przeszłość sławy, miłości ziomek, szczęśliwego ogniska domowego stanęła mu przed oczyma. Raz pierwszy od zbrodniczego swego postępu obejrzał się tak w tył — aby oglądać, co utracił...

Serce Ralfa Calverley było namiętne, instynkta despotyczne, natura twarda — i teraz też cała jego istota wzburzyła się pod uczuciem piekającej boleści. — Nieszczęśliwa! co tu robisz? po co tu przybywasz? — krzyknął.

Ale ona już odzyskała siły, które ją odbiegły na moment. Spokojna na pozór, choć bez kropli krwi na twarzy, podniosła wzrok na niego. — Przybywam do ciebie, jak powinna żona. Przywożę ci dziecko nasze.

On, jeszcze uniesiony prawie nienawiścią ku niej, która była dla niego żywym wyrzutem sumienia, prawie oszalała od gwałtu szarpiących nim uczuć, zacisnął pięście. — Po co przybywasz i ty i dziecko! — krzyknął znowu.

Ale nagle schwylił się obiema rękami za głowę, jak gdyby z niej chciał wydrzeć wszystkie włosy i rozpaczliwie cisnął się na pierwsze krzesło, które znalazł. Stolik stał obok, on oparł się o niego, ukrył twarz w dłoni i namiętny, straszny spazm łkania wyrwał mu się z piersi. Istnieje list Geraldiny do Jozuego Sumner, krewnego jej matki a brata owego Ebenezera Sumner, uratowanego niegdyś przez Ralfa Calverley na błoniach Lexingtonu, w którym biedna kobieta pisze: „On płakał wtedy... płakał... słyszałam ten głos rozdierający, który mnie rzucił do kolan jego. Objęłam je, błagając, aby się uspokoił, powiedziałam, że przybywam do niego, bom ślubowała mu wierność do zgonu — przybywam, aby być przy nim dla zbawienia jego duszy“.

„On zdawał się nie słyszeć nic, ale umilkł i gdy potem nagle wstał, był już spokojnym. Jak trup blady, z ciemnymi kołami pod oczyma, patrzył na mnie i położył mi rękę na głowie. — Kobieto, czyś ty jest prorokiem, jak Daniel, że chcesz iść między lwy ryczące? — rzekł posępnie, alem odpowiedziała mu znowu: — Żona twoja jestem“...

I została przy nim, choć życie obojga stawało się przez tę obecność jej obok niego cięższym, niż gdyby każde z nich cierpiało osobno. On widział jej bladłość, jej wynędznienie, patrzył na dziecko i posępniał, mroczył się cały cieniami ducha, desperacko targającego mu się w piersi, Geraldina zaś wiedziała aż nadto dobrze, że jest dla niego przyczyną, jakgdyby ciągłego obracania noża w ranie: czyż przecież nie po to—nie po to właśnie przybyła, aby ranie tej, którą w sercu nosił, zbliżnić się nie dała? Uczyniła się katuszą dla ukochanego człowieka i to był jej los okrutny, który sobie sama obrała. Znała ona charakter Ralfa Calverley i nigdy żadne słowo, wprost do jego czynu wymierzone, z ust jej nie wyszło, tylko widział jak zbladła, gdy raz weszło do niego dwóch jego kolegów, officerów angielskich w czerwonych mundurach; uciekła drżąc do drugiej izdebki, a on nie mógł ani pomyśleć o tem, aby wyszła bawić jego gości. Pytano o nią, ale odpowiedział, że chora, i chorą była rzeczywiście—na serce rozdarte...

I dostrzegł też raz, jak ją porwały dreszcze nerwowe, gdy usłyszała trąby angielskie i ujrzała wyjeżdżający kędyś oddział dragonów. Choć wtenczas, zmarszczony posępnie, milczał i gniewne błyski miał w oczach, jednak potem, już wieczorem późnym, gdy usypiała dziecko, przystąpił do niej i łagodnym głosem powiedział, że dragoni wyjeżdżali na zwykły objazd. Wojsk amerykańskich nie było w całej okolicy. Waszyngton trzymał się nad rzeką Delaware, i mogła być spokojną...

O co?—nie wyluszczał, ale ona wiedziała. Usta jej drżały, lecz on tego nie widział, stał przed nią i mówił; w żywości mowy popełnił przecież omyłkę—mówiąc o armii Waszyngtona, powiedział: „nasze wojsko“.

Powiedział i usłyszał się sam natychmiast; oblał go rumieniec i spojrzenie żony z mężem spotkało się, a kobieta, nie zdolna już dłużej hamować się, wybuchnęła głośnym płaczem, lecz zarazem, jakgdyby błagając go o przebaczenie, wyciągnęła do niego ramiona. I on swoje otworzył, padli sobie w objęcia i lody pękły, usta ich spotkały się ze sobą po raz pierwszy od przybycia Geraldiny, i ona płacząc tuliła mu się do łona. Było to na czwarty dzień po jej przybyciu do niego i od tej chwili zaszła w postępowaniu ich ze sobą zmiana pewna. Było to dwoje ludzi nieszczęśliwych, lecz już nie kryjących się przed sobą z tem, że są nieszczęśliwymi. Mąż siadywał czasem godziny całe milczący, z głową wspartą na rękę, zatopiony w myślach ponurych; śpiew żony przy kolebce dziecka był smutniejszym, niż gdyby to był płacz głośny, przecież mimo to wszystko. nie mogła wyciągnąć do niego ręk, wołając błagalnie:—Wróć się, jeszcze czas! Ujdziemy gdzie w pustynie, w głąsze leśne, gdzie nas nikt widzieć, nikt uragać nam nie będzie; unieśliemy z przepaści losu dusze nieszczęśliwe, ale oczyszczone!...

Nie mogła. Przy pierwszej tego rodzaju próbie spotkała się z takim namiętnym wybuchem uniesienia, z taką zacietą nienawiścią względem tych, którzy, w mniemaniu Ralfa Calverley, popchnęli go na drogę, którą szedł, że struchlała kobieta zamilkła, i broniła się tylko rozpaczą wiarą w Boga. A nie pisywała wcale do matki, do nikogo; położenie jej okrutne nie pozwalało na to nawet, bo cóż miała napisać? Czy skargę na męża, czy żale nad losem swoim?... Brzemie jej było ciężkie, ale wzięła je sama na barki i musiała je teraz nieść. Rozstając się z Filipem Honeywood, poprosiła go jak o łaskę ostatnią, aby dał znać matce, co się stało z nią i dziećciem: i to było już wszystko. Odcigła się od całej przeszłości, została w życiu samnasam z obowiązkiem—z mężem, dla którego, jak wierzyła silnie, była jedyną nitką zbawienia. Miał się mu

urwać w rękę ta nie ostatnia, aby runął na dno piekielne rozpacz i zatury ducha swego?

Silna wiara Purytanów amerykańskich, ugruntowana na twardej jak skała, ale jak skała monej zasadzie obowiązku, wyrabiała takie bohaterstwo ciche życia codziennego i pełna ich jest początkowa historia Ameryki. Kobieta tylko kochająca mogła się łatwo znaleźć obok ukochanego człowieka w położeniu podobnym; ale innej, wyższej siły trzeba było, aby znajdować się tam dla jego i swojej duszy nieśmiertelnej, jak to uczyniła Geraldina Calverley. Bładła i uszczuplała codzień, on codzień więcej żółł i w czarnych jego oczach, które teraz głęboko zapadły w głowę, palił się przyćmiony płomień trawiącego go wewnątrz ognia; przecież ta żona miłująca męża nad wszystko, jak tego dowiodła, nie zmieniła nic w postępowaniu swoim. Ducha!... ducha mężowskiego chciała uratować, nie jego formę zewnętrzną, nie jego ciało...

Bo i cóż ona pokochała w nim niegdyś? Ten człowiek nie był to piękny, wesoły, bogaty młodzieniec, któryby ją pociągnął do siebie nadzieją szczęśliwego używania życia, lub urokiem słodkich zachwyty miłosnych. Wiązała przed ołtarzem rękę swoją z ręką bohatera sprawy amerykańskiej—bohatera sprawy Amerykańskiej ukochała w nim wtedy—nieszczęśliwa!

Przypomniła teraz sobie słowa matki:—Ten jest bohaterem, kto spełnia obowiązki swoje... i zapłakała. Kiedy mąż widział potem czerwone oczy żony, wciskał sobie paznokcie w ciało, a głowa zaczęła mu się przypruszać siwizną. Przy silnej budowie, mocnej jak rzadko organizacji tego człowieka, było to w jego wieku rzeczą zadziwiającą i officerowie koledzy napomknęli mu kiedyś o tem, lecz on przyjął rzecz tak gniewnie, tak gwałtownie odpowiedział jednemu z nich, że o mało nie wynikł z tego pojedynek, któremu ledwie że zapobiegł pułkownik. Choć Anglicy chcieli uparcie widzieć w wojnie amerykańskiej niekarności buntowniczą, niemniej pułkownik Oliver rozumiał położenie Ralfa Calverley i chciał mu je ułatwić. Cenił w nim dzielnego, niestrudzonego żołnierza, którego chętnie widział pod swoją komendą, pośpieszył też odwiedzić Mrs. Calverley, skoro tylko dowiedział się o jej przybyciu do męża, ale piękna, młoda twarz Geraldiny wyrażała taki poważny i spokojny, ale głęboki smutek, że stosunek nie mógł się zawiązać. Nie zawiązał się też dla niej z nikim, tak tu, jak tam dalej, gdzie prowadziły ją za mężem obroty wojenne. Pułk jego zmienił najpierw leże, i stał się częścią załogi twierdzy Ticonderoga, potem biedna pociągnęła za nim do zajętej przez Anglików Filadelfii i była to chwila okrutnego przejścia, może dla obojga. Ralf Calverley nie bił się dotąd nigdy z wojskami amerykańskimi, bo wojna prowadziła się leniwie; wódz angielski, generał Howe, sądził, że tłumom zabraknie wytrwałości, a duchy szlachetniejsze znużą się rozbijaniem o ich apatyę i brak chęci patriotycznej. Można było tworzyć takie wnioski, bo rzeczywiście ze strony amerykańskiej walczyły tylko drobne garście ludzi i Waszyngton był jedynym wielkim duchem wojowniczym, który podtrzymywał sprawę całą. Wśród wielkich, w pół pustych przestrzeni, prowadziły się zapasy, zdające się przewlekać właśnie tem, że rozległość pola walki była tak niezmierną: aż naraz Anglia wymierzyła cios jakgdyby w samo serce Ameryki. Pod Brandynem przyszło do krwawej dla obu stron bitwy; Amerykanie ponieśli stanowczą klęskę, tu już umieli i chcieli się bić, poległa też dzielna część wszystkich zbrojnych sił amerykańskich i stolica kraju, Filadelfia, została wzięta. Pułk dragonów Olivera ruszony z twierdzy kanadyjskiej, przybywał, aby zająć w niej kwatery—wchodzono tam po śladach krwi, depcząc świeże pobojoowisko, spotykając po drodze par-

tye jeńców i rannych, i Ralf Calverley mógł nieraz spotkać spojrzenie, przed którym musiał spuścić oczy, mógł spotkać obraz, który mu kazał oczy te zasłonić.

I ona jechała za nim, ciągnęła za obozem angielskim, aby rozbijać swój namiot na gruzach nadziei narodowych.

Miasto przyjęło Anglików w cichości ponurej. Gdzieindziej wybiegano niepocziwie naprzeciw nich, witano radośnie, jak powrót władzy prawej, ale Filadelfia błyskała tylko wzrokiem posępnym i trzymała usta zaciśnione. Przepelniono ją wojskiem; koszały nie starczyły na jego pomieszczenie i miasto musiało dawać kwatery w domach prywatnych. Major Calverley otrzymał jedną z takich, lecz w domu angielskim, przecież jego gospodyni miała w żyłach krew amerykańską i odczuła położenie Geraldiny. Jej matka była Amerykanką i jak zawsze u dzieci takich związków nieszczęśliwych, pokutowały jej w sercu dla sprawy Amerykańskiej pewne sympaty, pewne smutne uczucie bolesnego rozdwojenia. Była o wiele starszą od Geraldiny, ale to nie—zbliżyły się do siebie: doświadczeńsza dawała niedoświadczonej rady co do obchodzenia się z dzieckiem, które w drodze zachorowało na kołusz. Geraldina miała teraz możność zamienienia z kiemś życzliwym sobie słów kilka, a może i westchnienie jakieś wydostało się wtedy z głębi jej ściśnionej piersi, aż Mrs. Greene pokazała jej raz w tajemnicy kawałek papieru. Były to dzienniki amerykańskie, nie wpuszczane do miasta i ukradkiem tylko tam przekradane, a których Geraldina nie widziała już dawno, dawno!.. Wszystkie jej wiadomości o sprawie publicznej pochodziły tylko z tego, co podawali Anglicy; była to więc dla biednej wygnanki ze swego świata radość niewypowiedziana, gdy jej się dostała naraz do rąk gazeta drukowana w Baltimore. Mrs. Greene przynosiła jej razporaz zwiłki zadrukowanego papieru, które oczy jej pożerały i duch nieraz już upadający, bo przygniatany ciągle groźnym malowaniem rzeczy przez Anglików, podnosił się w piersiach. I nie mogła wytrzymać, aby coś z tego nie powiedzieć mężowi. Mówiła, on słuchał również chciwie, nieraz na żółtkę policzki występowały wypieki czerwone, ale nieraz też strzelił z oczu płomień gorący dzikiego blasku, gdy drżąc, wzruszona kobieta, czytała mu odezwę Waszyngtona, lub mowy w kongresie mie-

wane. I dla serca Geraldiny byłoby jakgdyby szturmy okrutne, silnie nacierające na nią ducha. Jeżeli mijając pola świeżych walk i klęsk Ameryki, walczyć musiała ze sobą, aby nie rzucić się razem z dzieckiem o ziemię i nie zostać na niej trupem, którego zabiła boleśń grząca—to teraz miewała szalone napady takich pragnień, aby porwawszy córeczkę swą w objęcia, uciekać tam, gdzie ludzie szlachetni walczą, poświęcają się, dają życie dają za Amerykę. Nieszczęśliwa! miała czasem obłąkane oczy, gdy w takich momentach wzruszenia jej mąż zjawiał się przed nią—w mundurze czerwonym!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia**.

TREŚĆ. Stanisław hrabia Potocki, (wspomnienie), przez Wł. Z.—Pogawędka.—Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego.—Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego.—Geraldina Calverley, (dalszy ciąg), przez M. I.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Февраля 1884 года.